

## **Jarosław Jakubowski: Szaleństwo kulturalnego człowieka najbardziej mnie przeraża**

Wielu ludzi zastępuje religię instytucjonalną religią stricte prywatną, często bezbożną, a mimo to dającą im namiastkę prawdziwego absolutu. Dlaczego rezygnują z uczestnictwa w tradycyjnych formach kultu? Dlaczego odrzucają prawo moralne na rzecz prawa do „samorozwoju” i „samorealizacji”? Dlaczego wolą być istotami samotnymi niż społecznymi? Jedną z odpowiedzi na te pytania może być strach – mówi w wywiadzie z Rafałem Jakowlańcem dramaturg Jarosław Jakubowski

**Rafał Jurkowlaniec (Teologia Polityczna): Pana drugi tom dramatów poświęcony jest człowiekowi ponowoczesnemu. Mowa jest tu o ostatnim człowieku, któremu przyszło żyć w epoce zmierzchu kultury europejskiej. Kim jest ów człowiek końca? Co jest podłożem warunkującym oś dramatyczną, po której dane jest mu się poruszać?**

**Jarosław Jakubowski (dramaturg, autor *Prawdy*):** Rzeczywiście, koniec jest kategorią, która występuje w „Prawdzie i innych dramatach”. Początkowo zresztą myślałem o podtytule „i inne sztuki o końcu”. Uznałem jednak, że będzie to zbyt dosłowne. Bohaterowie moich sztuk teatralnych pragną rozstrzygnięcia, może nawet Rozstrzygnięcia. Żyją w stanie ciągłego nienasycenia, tęsknoty za czymś, co zdaje im się jakimś ostatecznym portem przeznaczenia.

Zarazem boją się zmiany, bo uważają, że skoro już z trudem zdołali stworzyć własne nisze egzystencjalne, szaleństwem byłoby je opuścić dla czegoś nieznanego. Z drugiej strony – w tych swoich niszach się duszą, cierpią w poczuciu, że wszystko jest nie tak, jak trzeba. Jedni uciekają w przeszłość, która jest dla nich namiastką wspomnianego „portu”, inni z kolei uciekają przed przeszłością, kojarzoną z traumą. Krótko mówiąc – łączy ich niepokodzenie z własną kondycją. Koniec, jakkolwiek by się nie objawił, wydaje im się, trochę jak nadejście barbarzyńców u Kawafisa, „jakimś rozwiązaniem”.

**Do czego zatem można sprowadzić człowieka współczesnego? Co jest jego główną bolączką? Bohaterowie dramatów antycznych czuli się pogodzeni z kosmosem. Fatum określało celowość ich życia. Bohaterowie dramatów nowożytnych, mimo że żyjący w napięciu ze światem, odnajdywali drogowskaz w sobie, w niezbywalnych wartościach, których byli nośnikami. Wydaje się, że człowiek współczesny, o którym Pan mówi, utracił nadrzędny kierunek. Nie potrafi nadawać sensu swojemu życiu. Został z tym zadaniem sam. Ciężar wolności go przerasta?**

Powinienem zacząć od tego, że człowiek współczesny, a mówimy tu o człowieku z kręgu cywilizacji Zachodu, funkcjonuje w warunkach ostrego kryzysu obejmującego wszystkie sfery życia: od religijności i duchowości, przez relacje międzyludzkie aż po opresję materialną objawiającą się nie – jak w przypadku jego rodziców czy dziadków – niedoborem tychże dóbr, ile raczej ich nadmiarem, sztucznie wykreowanym popytem na nie. Sens życia niejednego człowieka sprowadza się do spłaty wieloletniego kredytu. Wokół tego problemu ogniskuje się jego aktywność, temu podporządkowuje on wybory, które często rzutują na długie okresy życia, jeśli nie na całe życie. Człowiek

ten ma świadomość istnienia perspektywy transcendentalnej, jednak dobrowolnie z niej rezygnuje na rzecz realizacji doraźnych, materialnych celów. W moich dramatach staram się podglądać człowieka w momentach, gdy dostrzega on jakieś potworne zakłamanie swojej sytuacji. Leży w nocy w łóżku i wie, że chociaż to nie ma sensu, to jutro rano znowu się zerwie, żeby walczyć o coś, co nie ma dla niego prawdziwej wartości. Co by było, gdyby się jednak nie zerwał, gdyby jednak odpuścił? Moje sztuki są takimi laboratoryjnymi eksperymentami. Próbuję wy badać, na ile możliwe jest życie „w bojaźni Bożej” czy mówiąc inaczej „na Bożą chwałę”.

*Człowiek współczesny  
funkcjonuje w warunkach  
ostrego kryzysu obejmującego  
wszystkie sfery życia: od  
religijności i duchowości,  
przez relacje międzyludzkie aż  
po opresję materialną*

**Jak w takim razie  
interpretować  
postać Jacka -  
bohatera tytułowej  
sztuki? Czytając  
„Prawdę” nie  
mogłem bowiem  
oprzeć się  
wrażeniu, że jest  
tam naszkicowany,**

**znany między innymi z psychoanalizy, dualizm kultury i natury. Kulturą jest więc prawo, poczciwość, moralność, opinia społeczna – elementy szczególnie mocno rzutujące na żonę i syna. Z drugiej strony mamy do czynienia z niezwykle silnym freudowskim id obecnym u głównego bohatera. Subiektywny fetysz, choć ukrywany i wypierany, ostatecznie okazuje się nagą prawdą. Czy nie jest więc tak, że współczesny człowiek znalazł w sobie coś silniejszego od wspomnianej transcendencji czy bojaźni Bożej? Nie może realizować w swoim życiu prawa moralnego, bo jego obecna samowiedza mu na to nie pozwala?**

Jedną z najważniejszych scen Prawdy jest dla mnie ta, w której Jacek, bohater sztuki, odprawia rodzaj rytuału przed „ołtarzykiem” ku czci miłości swojego życia. Tylko z tą zmarłą, w domyśle – zamordowaną przez siebie dziewczyną – potrafi być naprawdę szczery, nagi. Myślę, że wiele osób tworzy takie ołtarzyki na własny użytek. Zastępują religię instytucjonalną religią stricte prywatną, często bezbożną, a mimo to dającą im namiastkę prawdziwego absolutu. Dlaczego rezygnują z uczestnictwa w tradycyjnych formach kultu? Dlaczego odrzucają prawo moralne na rzecz prawa do „samorozwoju” i „samorealizacji”? Dlaczego wolą być istotami samotnymi niż społecznymi? Jedną z odpowiedzi na te pytania może być – strach. Strach przed odpowiedzialnością za drugiego człowieka i za własne czyny, zagłuszany trąbieniem o „wolności wyboru”. Wspomniany przez pana dualizm kultura-natura zresztą mnie fascynuje, bo wcale nie jest tak oczywisty jak by się mogło wydawać. Jak na przykład rozumieć postulat „powrotu do natury”, który dziś często zakrawa na groteskę? Natura traktowana jest jak fetysz, czysto ideologicznie i instrumentalnie, „naturalne” w domyśle ma się lepiej sprzedać. To, co postrzegane jest jako „natura”, w istocie więc jest częścią kultury. Tymczasem zapominamy o najbardziej elementarnym przejawianiu się natury w człowieku, mianowicie o sferze emocji. Śmiem twierdzić, że o losach świata decydują nie tyle polityczne szachy, co właśnie emocje. Tak samo jest w wymiarze jednostkowego życia. Szaleństwo kulturalnego człowieka to coś, co chyba najbardziej mnie przeraża.

**Zgodziłby się Pan zatem z Gombrowiczem, który aprobował katolicyzm właśnie za przenikliwe wyczucie piekła, które tkwi w naturze człowieka i lęk przed jego nadmierną dynamiką?**

Gombrowicz! Cieszę się, że wspomina Pan o nim, bo pisząc polski dramat współczesny, będąc polskim dramatopisarzem współczesnym, muszę być, przynajmniej po trosze, „z niego”. Jak wiadomo, Gombrowicz deklarował się jako niewierzący, choć Bóg, wiara, religia, katolicyzm wreszcie były dla niego sprawami co najmniej nieobojętnymi. Pisze o tym przenikliwie Jakub Lubelski w książce „Ssanie. Głód sacrum w literaturze polskiej”. Gombrowicz postulował, aby katolicyzm stał się religią dojrzałą, to jest uwolnioną od doraźnych celów, takich jak walka z Marksem. „Jestem po prostu za tym aby, cokolwiek się dzieje w naszym życiu duchowym, działało się w sposób najgłębszy i najrzetelniejszy” – tak pisał w „Dzienniku”. Jednocześnie tęsknił za ostateczną instancją, która porządkuje życie człowieka. Czuł „ssanie”. Wspomniane przez Pana „wyczucie piekła” i „lęk przed jego nadmierną dynamiką” można odbierać jako swego rodzaju katolicką busolę. Odnosząc to do mojej twórczości, właściwie w każdym utworze mógłbym wskazać owo „wyczucie piekła” i jednocześnie głód „międzyludzkiego kościoła”. Chyba najlepiej to widać w „Licheń Story”, choćby w postaci Biskupa, który stracił wiarę, ale nie rezygnuje z poszukiwań. Błaga swoich wiernych: „Proszę, nie zostawiajcie mnie. Potrzebuję was”. Myślę, że to najbardziej katolicka ze sztuk, jakie napisałem, a może w ogóle, jakie napisano? Można powiedzieć, że mam łatwiej niż Gombrowicz, bo jestem katolikiem. Można też powiedzieć, że mam trudniej, bo dobrowolnie skazuję się na jakąś ograniczoność. Po prostu uważam, że nie wszystko mi jako twórcy, wolno.

**W procesie pisania uaktywnia się zatem u Pana jakiś wewnętrzny cenzor? Można powiedzieć, że nie ufa Pan do końca również sobie? We wspomnianym dramacie nakładanie się sfery profanum na sferę sacrum jest zaakcentowane bardzo silnie i mimo że zabieg ten, jak mniemam, służy przybliżeniu współczesnego**

**świata do Boga, przez pewien typ religijności konfesyjnej mógłby uchodzić wręcz za obrazoburczy tzn. zostałyby automatycznie wyparty jako zakłócający tabu.**

Proces pisania ma swoją dynamikę, nie zawsze możliwą do odczytania in statu nascendi. Bywa, że to co piszę, staje się dla mnie zrozumiałe i jasne dopiero po jakimś czasie. Ale oczywiście, byłbym hipokrytą, gdybym nie przyznał, że działa we mnie wewnętrzny cenzor. Nie będę łamał tabu dla samego ich łamania, co pewnie odróżnia mnie od dużej części współczesnych twórców teatralnych. „Licheń Story” kończy się zawołaniem Biskupa: „Przekażcie sobie znak pokoju”, więc pomimo pewnych obrazoburczych sytuacji tam zawartych, utwór ma wymowę „prowspółnotową”, a nie dekonstrukcjonistyczną. Mam nadzieję, że niesie ze sobą katharsis. Mam z teatrem współczesnym w Polsce i pewnie nie tylko tutaj, pewien zasadniczy problem. Większość spektakli, które widziałem, traktuje duchowość czy religijność jako źródło opresji, zniewolenia i związanych z tym traum. Nie mówię nawet o prostackim antyklerykalizmie i swoistej chrystofobii obecnych w „modnych” przedstawieniach, tylko o zasadniczej nieufności twórców wobec tej sfery. Odcięcie się od tak istotnego źródła kultury, jakim jest chrześcijaństwo, musi prowadzić do zubożenia obrazu człowieka w sztuce współczesnej. Teatr jako dziedzina bardzo „aktywna sejsmicznie”, wrażliwa na ducha czasów, ukazuje to zubożenie wyraźniej niż inne sztuki. Tym samym jednak, zamiast próbować zaradzić kryzysowi duchowemu człowieka Zachodu, ten kryzys tylko pogłębia. Kilka lat temu pewien polski performer wystawił w teatrze spektakl „Msza” – rekonstrukcję mszy świętej „jeden do jednego”. W zamyśle miało to unaocznic banał katolickiego rytuału. Ukazało raczej bezradność teatru wobec sacrum.

*Można powiedzieć, że mam łatwiej niż Gombrowicz, bo jestem katolikiem. Można też powiedzieć, że mam trudniej, bo dobrowolnie skazuję się na jakąś ograniczoność*

**W teatrze współczesnym szczególnie zastanawiający i niezrozumiały wydaje się ów brak świadomości kryzysu. To co jeszcze choćby**

**absurdystom jawiło się jako tragiczne, przez współczesnych dramaturgów przemienione zostało w swego rodzaju jutrzeńkę. Afirmacja naturalizmu połączona jest z ignorancją - brakiem świadomości negatywnych konsekwencji. Wydaje się, że kulturze współczesnej nie pozostaje już nic innego jak pewna forma zakłamania. Tylko tak jest w stanie bronić się przed nihilizmem – afirmować brak, wierzyć w naturalne dobro człowieka, które objawi się po emancypacji z zewnętrznych okowów. A przecież ten naturalistyczny człowiek, którego demaskował Mroźek w „Letnim dniu” czy „Na pełnym morzu” to jakiś nieludzki potwór...**

Myślę, że teatr taką świadomość kryzysu posiada, ale po swojemu ją zagłusza. Znowu odwołam się do własnych doświadczeń. Otóż od pewnego czasu, może od dekady, może dłużej, nie opuszcza mnie wrażenie jakiegoś totalnego zmęczenia, znużenia sztuki współczesnej. Ucieczki od spraw ważnych w parodię, autotematyzm bądź też krzykliwy skandalik. Owszem, bywało tak i dawniej, ale dziś jest to już właściwie regułą, szczególnie widoczną w teatrze. Często zadaję sobie pytanie, do czego to wszystko zmierza i czy rzeczywiście istnieje jakiś punkt na osi dziejów, w którym ci, którzy dziś tak usilnie człowieka „wyzwalają” będą mogli powiedzieć: „mamy to”. Jeśli kiedykolwiek taki

moment nastąpi, będzie to moment końca człowieka w ogóle. Zastąpi go jakaś inna istota, ale z pewnością nie będzie to już ten człowiek, którego znamy dzisiaj. Jakoś nie wierzę w „naturalne dobro człowieka”, Mroźek też nie wierzył zdaje się. Warto też zastanowić się nad przyczyną tego zmęczenia sztuki współczesnej. Myślę, że bierze się ono z utraty jakiejś dziecinnej niewinności, zdolności do dziwienia się i zadawania istotnych pytań. Przeważa perspektywa następująca: rodzimy się i umieramy, a w międzyczasie następuje ciąg przypadkowych i raczej bezsensownych zdarzeń. To jest rodzaj zmęczenia życiem, pragnienia śmierci. Śmierci, za którą nie ma żadnej perspektywy metafizycznej. Autodestrukcja, koniec i bomba.

**Prof. Jagoda Hernik Spalińska, w tekście będącym pewną formą wstępu do nowego tomu dramatów, pisze o obecnym w Pana sztukach zjawisku „nowego otwarcia”, które następuje po doświadczeniu nowoczesności i ponowoczesności.**

Pani profesor w swoim uważa, że w swoich dramatach pokazuję „postostatniego człowieka”, to znaczy człowieka, który ma za sobą doświadczenie „śmierci Boga” i jej konsekwencji. Inaczej mówiąc – nie musi już tego Boga „zabijać”, bo zastaje świat ogołocony ze sfery sacrum i wszystkiego, co z nią związane. Czy wynika z tego „nowe otwarcie”? W wymiarze filozoficznym, w jakimś modelu myślowym być może tak. Wszyscy wszak lubimy nowe otwarcia, nawet jeśli okazują się na ogół ponurymi kontynuacjami. Ja też chciałbym wierzyć, że ten postostatni człowiek uczyni jakiś radykalny gest nie będący gestem samobójczym. I przecież moi bohaterowie, z nielicznymi wyjątkami, jednak podejmują walkę. Myślę, że w dalszym planie czasowym będziemy mieli do czynienia z coraz wyraźniejszym powrotem do religijności. Po okresie karnawału przychodzi okres postu. Nie wiem,

jaki ta religijność przyjmie kształt, być może nie będzie masowa, tylko bardziej kontemplacyjna, samotnicza? Jestem jednak przekonany, że człowiek na powrót zatęskni za Bogiem. Zdobyte cywilizacyjne sprawiają, że życie staje się wygodniejsze, a zarazem powodują coraz większe uzależnienie się człowieka od technologii. To musi w końcu eksplodować w jakąś nową formę irracjonalności.

**Może podstawą pod „nowe otwarcie” będzie właśnie to zapętlenie się człowieka współczesnego – jeżeli możemy mówić jeszcze o jakimś integralnym człowieku? Może życie w świecie, w którym nie jest się już jakimś określonym podmiotem, tylko wciąż na nowo obumierającym i błakającym się bez celu zjawiskiem, obudzi tęsknotę za czymś trwałym i wiecznym? Niemożność odnalezienia trwałej podstawy w planie immanencji, będzie asumptem do wykonania radykalnego skoku w transcendencję?**

Zwróciłem uwagę na bohatera mojej sztuki pt. „Człowiek, który nie umiał odejść”. Jest to historia mężczyzny, kto postanawia rzucić wszystko, całe swoje dotychczasowe życie i uciec, ponieważ nie zgadza się z faktem, że musi odgrywać jakiejkolwiek role życiowe: męża czy też pracownika. Ucieka de facto od siebie, przekraczając kolejne granice geograficzne i granice upodlenia. Kieruje nim pragnienie zniknięcia ze świata, ponieważ odrzuca świat jako taki. A ponieważ świata nie może unicestwić, unicestwia siebie w świecie. W ostatniej scenie, kiedy jest już zaledwie „kadłubkiem”, jakąś resztką, doznaje przeogromnego wzruszenia na widok kobiety, którą dawno temu zostawił. Mężczyzna nie ma możliwości, aby to uczucie wyartykułować. Jest drżącym, cierpiącym kawałkiem mięsa, ale właśnie w tym momencie pojmuje, co stracił i w tym poczuciu utraty odnajduje chyba własną duszę. Być może zatem przyszły człowiek nie będzie potrzebował całego

instrumentarium ciała, tylko wystarczy mu na przykład sam mózg, być może społeczeństwo przyszłości będzie systemem połączonych ze sobą (albo całkowicie odosobnionych) bytów mózgowych? I to może być ów „skok w transcendencję”. Zresztą proszę zwrócić uwagę na to, co dzieje się z ludzkim ciałem – te wszystkie społecznie akceptowane tortury jakim jest obecnie poddawane, te wszystkie diety, programy treningowe, przemysł chirurgii plastycznej – dla mnie to nic innego jak przejaw nienawiści do ciała. Jej ostateczną formą będzie radykalnie się jego pozbycie.

*Teatr posiada świadomość kryzysu, ale po swoim ją zagłusza. Ucieka od spraw ważnych w parodię, autotematyzm bądź też krzykliwy skandalik*

**Doszliśmy w tym miejscu do problemu transhumanizmu, który można powiązać z chrześcijańską historiozofią. Człowiek**

**nienawidzi swojego ciała, bo jest ono przyczyną grzechu i zła. Ciało ma coraz mniejszy wpływ na ducha, który się od niego uwalnia. Bo kto, jak nie Chrystus, uwolnił człowieka z natury? Z historii cyklicznej będącej obrazem przemian natury w historię linearną zmierzającą do paruzji? Ta niechęć do cielesności może być oczywiście odbierana jako jakaś wersja manicheizmu, ale z drugiej strony może być też postrzegana jako konsekwentna droga do wyjścia z kryzysu. Nawet ten szczególnie silny postulat powrotu do natury, o którym Pan wspominał na początku. Przecież to jest nic innego jak pewna projekcja ludzkiej duchowości na naturę. To traktowanie zwierząt czy lasów jako**

**równoprawne podmioty etyczne. Sama natura nie myśli w ten sposób. Jej okrucieństwo nas przeraża. My już jej nie chcemy w pierwotnej postaci. Tak samo jak siebie...**

Przede wszystkim uważam, że człowiek jest najbardziej samotną istotą we wszechświecie, jest samotny zawsze i w każdej sytuacji. Jest samotny, ponieważ samotna jest jego jaźń. Poczucie przynależności do tej czy innej zbiorowości, poczucie wspólnoty losu na przykład ze współmałżonkiem są tylko mrzonkami, które mają złagodzić samotność. Samotność nie jest niczym złym, nie jest żadną dolegliwością, jest naturalnym stanem człowieka. Ktoś, kto uważa inaczej, prędzej czy później dojdzie do wniosku, że jest w błędzie. Jako pisarz mam ten przywilej, że mogę na moich bohaterach badać różne modele funkcjonowania, wrzucać ich w sytuację lotu kosmicznego czy utraty wszystkich członków... staram się towarzyszyć im podczas bezsennych nocy, podsłuchiwać, do kogo wtedy się zwracają. Chrześcijaństwo jest radykalną odpowiedzią na ludzką samotność. Bóg cierpiący jako człowiek – trudno o większe zaprzeczenie dla wszystkiego, co było wcześniej. Europa zachodnia obecnie dość zdecydowanie chrześcijaństwo odrzuca na rzecz ideologii współistnienia różnych dróg, pod warunkiem, że prowadzą do „wolności” rozumianej jako wolność od wszelkich nakazów czy zakazów moralnych. Samotność człowieka przybiera coraz bardziej dramatyczny wymiar. To już nie wadzenie się z Bogiem, ale dryfowanie w jakiejś potwornej próżni. W Kosmonautach bohaterowie zamknięci w kapsule statku kosmicznego, skazani na podróż w nieznaną, usiłują odtworzyć relacje i napięcia właściwe dla ludzkich społeczności. Są trochę jak rekonstruktorzy historyczni: wiedzą co i jak, ale zarazem zdają sobie sprawę, że to wszystko na niby. Dopiero gdy jedna z bohaterek doznaje religijnego objawienia, czują że to coś

autentycznego, choć irracjonalnego. Wspominam ten utwór, bo w nim chyba najpełniej dotykam problemu transhumanizmu. Mój człowiek jest zawsze i wszędzie samotny, zawsze i wszędzie wężący za Bogiem.

**Dziękuję za rozmowę**

*Rozmawiał Rafał Jurkowlaniec*